

ROZMOWA „WIELOGŁOSU”

O problemach współczesnej komparatystyki
rozmawiają Maria Korytowska, Marta Skwara,
Olga Płaszczewska, Bogusław Bakuła,
Tomasz Bilczewski, Andrzej Borowski,
Andrzej Hejmej i Tadeusz Sławek

Olga Płaszczewska: Dziękuję redakcji „Wielogłosu” za zaproszenie do udziału w spotkaniu, witam serdecznie przybyłych gości.

Punktem wyjścia naszej rozmowy jest wydana pod redakcją doktora Tomasza Bilczewskiego antologia tekstów teoretycznych *Niewspółmierność. Perspektywy nowoczesnej komparatystyki*. Jest to cenna poznawczo książka, obrazuje bowiem stan komparatystyki na kontynencie amerykańskim w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Są to również lata nieobojętne dla komparatystyki polskiej, rozwijającej się dzięki zaistnieniu po 1989 roku koniecznych ku temu warunków „intelektualnej wolności”. Cieszy fakt, że do rozmowy o *Niewspółmierności* zaproszeni zostali nie tylko teoretycy literatury, ale przede wszystkim uczeni, których metakrytyczne spostrzeżenia na temat komparatystyki wiążą się z prowadzoną przez nich praktyką badań porównawczych, badacze aktywnie kształtujący obraz komparatystyki polskiej ostatnich znaczących dwudziestu lat.

Zacznijmy nieco prowokacyjnie. Wszyscy zgadzamy się, że antologia *Niewspółmierność. Perspektywy nowoczesnej komparatystyki* to wartościowa książka, ale czy prezentując ją w sytuacji, kiedy – jak zwraca uwagę jej redaktor – brakuje na polskim rynku innych opracowań umożliwiających orientację w tej dziedzinie, nie wypaczamy perspektywy? Czy nie podlegamy „globalizacji”? Innymi słowy, czy amerykański model komparatystyki przystaje do sytuacji polskiej?

Marta Skwara: W ogóle nie przystaje! Jednak interesujące w tej antologii wydają się dwie rzeczy. Po pierwsze fakt, że zebrane w niej teksty wzajemnie się oświetlają, na przykład artykułowi Davida Damroscha towarzyszą odniesienia do jego poglądów w kilku innych wypowiedziach, które są albo przychylnie, albo jedynie relacjonujące, czasem zdecydowanie krytyczne. Układa się to w logiczną całość. Z perspektywy polskiej jest to interesujący dowód toczącego się gdzie indziej dialogu intelektualnego. Po drugie, istotne jest stawiane w książce pytanie o historię literatury światowej. Ten problem stale nas dotyczy. Poza tym w antologii znalazły się znaczące refleksje na temat samej istoty porównania. Warto je przemyśleć, bo inspirują, między innymi, do zastanowienia się nad tym, jak wyglądałyby dzisiaj w Polsce dzieje literatury europejskiej, nawiązujące do badań zainicjowanych przez Władysława Floryana.

Są natomiast w antologii teksty, które z naszego punktu widzenia wydają się mniej istotne, jednak poszerzają horyzonty, wprowadzając nowe problemy teoretyczne lub ukazując odmienne rozwiązania praktyczne. Co do kwestii, które nas albo nie dotyczą, albo dotyczą w inny sposób, to zastanawiałam się nad tekstem Gayatri Spivak i nad typowo amerykańskim problemem tak zwanych *area studies* i ich relacji z *comparative literature*. To jest, moim zdaniem, wewnętrzny spór amerykański. Czy ów tekst należy więc czytać jako informację o wewnętrznych sporach amerykańskich, czy czytać go jako odniesienie do naszej sytuacji? Nie wiem. Ponieważ niemożliwe jest przeniesienie tej kwestii na grunt naszych studiów regionalnych, rodzi się pytanie, jaki związek ma tekst Spivak z naszą sytuacją kulturową i organizacyjną.

Tadeusz Sławek: Wspomniała Pani o tekście Spivak, do którego również mam ambiwalentny stosunek. Odnoszę wrażenie, że – mimo wszystko – może on zapowiadać coś, co dopiero się zdarzy. Na polskiej scenie problematyka poruszana przez Spivak ma jednak szansę zaistnieć nie w sferze literatury i nauki o literaturze, ale polityki. Mam na myśli takie zjawiska, jak Ruch Autonomii Śląska i pokrewny mu „ruch podhalański”. Kiedy niewinne *area studies* – studia regionalne – zostają wplątane w zawieruchę ideologiczną, przestajemy rozmawiać o literaturze, a podejmujemy dyskusję polityczną. Sądzę, że poniekąd ma Pani słuszność, zwracając uwagę na wypowiedź Spivak, która wydaje się niezwiązana z sytuacją polską, a paradoksalnie pokazuje, co być może niebawem nastąpi.

O. Płaszczewska: Wypowiedź profesora Sławka określa kierunek jego zainteresowań, zwracających się w stronę literaturoznawstwa porównawczego o zacięciu kulturowym. Dzięki Pana uwadze na temat Śląska i Podhala wróciliśmy jednak z Ameryki do problemów nieco bliższych nam terytorialnie. Jak się zatem ma amerykański stan rzeczy do sytuacji komparatystyki w Europie i Polsce?

Bogusław Bakuła: Wspominaną antologię czytałem z narastającym zaciekawieniem i fascynacją, ale poczułem także rozczarowanie. Z pełnym uznaniem

odnoszę się do trudu wydawcy i tego gigantycznego przedsięwzięcia, które przyswaja nam kilkanaście lat ciężkiej pracy amerykańskich badaczy. Pan doktor Bilczewski podaje nam to na „łopacie piekarskiej”.

Jednak rozczarowanie dotyczy zademonstrowanego tu przedmiotu komparatystyki, który jest natury politycznej, instytucjonalnej, społecznej, ale nie literackiej czy odnoszącej się do relacji literatury z innymi dziedzinami. Żadna wcześniejsza antologia zagranicznej komparatystyki nie ukazywała tak skrajnie uzależnienia komparatystyki od sytuacji politycznej, która również dotyczy samopoczucia komparatystów, ich pozycji i ambicji. Zagłębiając się w lekturę, miałem dziwne wrażenie, że amerykańskie badania cierpią na niespotykany solipsyzm. Badacze zajmują się tam w znacznej mierze sobą, własną sytuacją. To metodologiczna autoteliczność, która nakazuje im analizować możliwości funkcjonowania wydziałów komparatystyki, a ponadto każe zastanawiać się nad wpływami politycznymi poprzez stan badań, nad wypozycjonowaniem swoich tematów, postaci, nawet środowisk, które się tam ścierają i współpracują. W gruncie rzeczy jest to debata nienaukowa na temat „przywódczej roli komparatystyki”. Amerykańskie roztrząsania należy czytać przez pryzmat zimnej wojny i sytuacji politycznej okresu, kiedy powstawała w Stanach Zjednoczonych komparatystyka. W takim kontekście nieuniknione wydają się dzisiejsze rozczarowania, kiedy uprawianie polityki nie jest tak bardzo potrzebne. Musimy mieć świadomość, że te wielkie wydziały czy środowiska debatują nad własnym statusem, który uległ niejednej zmianie. Amerykańskie raporty i dyskusje nie tylko dokumentują starcie stanowisk poznawczych czy metodologicznych, lecz także stanowią próbę wywarcia wpływu na rzeczywistość pozaedukacyjną i pozanaukową. Do pewnego momentu odnosiłem wrażenie, że główny problem tych wypowiedzi to status komparatystyki nie jako nauki, ale dziedziny istnienia, dziedziny życia w społeczeństwie wielokulturowym, skonfliktowanym wewnętrznie. Nie ma to, oczywiście, nic wspólnego z sytuacją polską, bo problemy, które sygnalizuje profesor Sławek, zyskują aktualność dopiero za dwadzieścia, trzydzieści lat.

W antologii uderzył mnie niezwykle rozdęty pokaz dywagacyjny, a także nadteoretyczność, która jest skutkiem obecnej sytuacji w humanistyce. Faktycznie nie trafiłem w książce na ani jedno porządne literaturoznawcze porównanie, ale wciąż zastanawiam się, jak proklamacyjna sfera tych debat ma się do sytuacji badawczej. Ostatnia część antologii udziela w pewnym stopniu odpowiedzi na to pytanie. Cieszę się więc, że ta część feministyczna, postkolonialna czy nawet translologiczna, która pewnie jest bliższa i poloniście, i filologowi, nieodrzucającemu teorii, ale też niewidzącemu w niej absolutu, niemodlącemu się przed ołtarzem tych niesłychanie wyrafinowanych, a jednak powtarzających się problemów, pozwala na mówienie o komparatystyce jako dziedzinie naukowej, a nie dziedzinie polityki. Tautologia jest podstawowym problemem tego wyboru tekstów. *Niewspółmierność* pokazuje problemy amerykańskich środowisk badawczych, które nie mają wiele wspólnego z Polską. Amerykanie walczą o przetrwanie, my – o zaistnienie. W Polsce nie

powstały dotąd wydziały komparatystyki, a poza Krakowem, który ma w tej dziedzinie największe perspektywy, nie istnieją nawet instytuty komparatystyki. Moim zdaniem, współczesna komparatystyka amerykańska zajmuje się dookreśleniem własnego statusu, jednak nie w kategoriach naukowo-metodologicznych, ale społeczno-politycznych i wewnętrznie hierarchicznych. Na tym polega jej problem, który niespecjalnie przekłada się na sytuację polską. Można o tym dyskutować, ale zagadnienia kluczowe dla polskiej i amerykańskiej komparatystyki sytuują się na innych płaszczyznach. W tym sensie kompendium nie pomoże w rozwoju dyscypliny w naszym kraju, nie wytłumaczy naszych problemów, bo ich tam nie ma. Nieskończona dyskusja o tożsamości i metodzie zamienia się w egotyczny, samoistny cel komparatystyki, a reszta wydaje się dość nieoczywista lub czasami zbędna. Uważam, że potrzebujemy również innych perspektyw i rozwiązań, zwłaszcza z zakresu badań pozaautotelicznych i niesolipsystycznych. Wydaje mi się, że komparatystyka europejska wciąż ich dostarcza.

O. Płaszczewska: Skoro komparatystyka amerykańska okazuje się autoteliczna, czym różni się od niej europejskie literaturoznawstwo porównawcze? Czyż zajmują się polska i europejska komparatystyka?

Andrzej Borowski: Przyjąłem chętnie zaproszenie do tej dyskusji, rozumiejąc, że nie tylko mamy oddać hołd wydawcom leżącej przed nami książki, co zresztą z satysfakcją czynię. Chciałbym też o wydanej przez Pana doktora Bilczewskiego rozprawie doktorskiej i o innej jeszcze publikacji, a mianowicie o ogłoszonym również z jego jako współautora udziałem pierwszym tomie serii *Komparatystyka dzisiaj. Problemy teoretyczne* pod redakcją Ewy Szczęśnej i Edwarda Kasperskiego. Przywołanie tych wydanych niedawno niemal równocześnie książek stanowi pretekst do sformułowania pierwszej konstatacji, która może być też przedmiotem naszego tutaj namysłu. Oto znowu spotykamy się właśnie dzisiaj, aby dyskutować o literaturoznawstwie porównawczym. Wspólnie z prof. Marią Korytowską zabawialiśmy się podobnie trzydzieści lat temu pod patronatem profesora Błońskiego, który nam obojgu „kazał zrobić” u nas na polonistyce komparatystykę. Chyba tylko pani profesor Korytowska i ja w całym naszym zespole „gołębnikowym” mamy z tamtych czasów dyplomy habilitacyjne z zakresu literaturoznawstwa z zaznaczeniem: „oraz komparatystyki literackiej”. Zatem poniekąd otrzymałem „święcenia” komparatystyczne, ale wyznaję, że niczym „upadły kapłan” straciłem wiarę w tożsamość komparatystyki dość dawno temu, gdy uświadamiałem sobie coraz głębiej swoistość filologii, a mianowicie fakt, że gdy się jest filologiem, to nie można nie być komparatystą. Zrozumienie tego faktu naruszało dziecięcą wiarę w oczywiście odrębną metodologicznie swoistość komparatystyki literackiej.

Kwestia metodologicznej tożsamości komparatystyki to był problem nie tylko dla Rene Welleka, to chyba jest też problem każdego, kto się nad

uprawianą przez siebie działalnością badawczą w zakresie filologii ucziwie zastanawia. Rozważając tożsamość komparatystyki jako specjalności, bo to nawet nie jest osobna dyscyplina humanistyki, dokonując redukcji tego pojęcia do filologii. Filolog bowiem w formule pierwotnej, podstawowej, gdzieś powiedzmy w IV wieku po Chrystusie, a potem w epoce wczesnonowożytnej, nie robił właściwie niczego innego, jak to właśnie, czym potem zajęła się komparatystyka. Po pierwsze, określał uniwersalny, normatywny wzorzec estetyczny służący do imitacji. Czynił to, układając lekturowy kanon dzieł poetów i prozaików, które powstały w całym śródziemnomorskim układzie kultury literackiej (a nie w jakiejś jednej „literaturze narodowej”, której nie było). Wyznacznikiem tego uniwersalizmu była greka i łacina. Po drugie, na podstawie tego kanonu i wydedukowanej z niego estetyki normatywnej budowano z kolei wzorzec emulacyjny. Oznacza to, że zajmowano się ustalaniem, czy np. poezja Janicjusza albo Kochanowskiego może się równać z liryką Horacego bądź Owidiusza. Przykład ten nawiązuje do czasów dawniejszych, którymi się zajmuję (wzięty jest z rozważań Sarbiewskiego), ale podobnie można było się zastanawiać, czy wolno Mickiewcza zestawiać np. z Wergiliuszem albo z Goethem. Dodać trzeba, że również przedmiotem uwagi filologa była teoria i praktyka przekładu, czyli tak integralnie związana dziś z komparatystyką translatołogia i „poetyka odbioru”. Wydaje mi się więc, że powinniśmy przypominać sobie nieustannie, iż filologia była i jest nadal całościową wiedzą o literaturze, że nie zatrzymuje się na granicy etnicznej kultury literackiej ani na barierach językowych. Filolog wszak nie może nie znać języków funkcjonujących w obszarze danego układu kultury literackiej, bo jeżeli ich nie zna, nie powinien zabierać się do poważnej egzegezy tekstów w tym układzie powstałych. Powinności tej nie może cedować na „obowiązkowo” wielojęzycznego komparatystę. Nie może też ignorować „korespondencji sztuk”: czyż można by, na przykład, komentować nie tylko antyczną melikę, ale lirykę średniowieczną i nowożytną bez kontekstu muzycznego? A czy można by uprawiać studia nad wyobraźnią i stylistyką (czyli obrazowaniem), nie tylko w takich gatunkach jak emblematy czy *poesis figurata*, bez znajomości ikonografii i ikonologii?

W takim stanie rzeczy to właśnie filologia przez duże „F” jest naturalnym protoparadygmatem komparatystyki literackiej. I jeszcze inna kwestia: kontekst polityczny i ideologiczny. Dostrzegam w tradycyjnej, czyli „romantycznej” formule komparatystyki silne uzależnienie od ideologii, rodziła się ona bowiem wtedy, kiedy upokorzeni przez Napoleona patrioci niemieccy, a potem jeszcze inne nacje europejskie, podobnie doświadczone przez historię, zaczęły się wpatrywać we własną tożsamość definiowaną na zasadzie odrębności i „oryginalności”. Było to zarazem odchodzenie od uniwersalizmu kultury, tak charakterystycznego dla cywilizacji europejskiej, zbudowanej na koncepcji uniwersalnej formuły człowieczeństwa kulturowego (*humanitas*). A to na niej przecież opierała się filologiczna hipoteza rozumienia człowieczeństwa kształtowanego i opisywanego przez poetę czy autora prozy reto-

rycznej. Nowa romantyczna formuła kultury i literatury narodowej oraz ich tożsamości wyolbrzymiła funkcjonalność takich kategorii, jak odrębność, indywidualność i „oryginalność”. To są właściwie aż do dzisiaj wielkie tematy i wielkie narracje komparatystyki literackiej, która dostosowując się do wymogów poprawności politycznej, zajmuje się wielkodusznie także wielokulturowością czy postkolonializmem. Komparatystykę „ożywiła” poza tym pozytywistyczna filozofia literatury, dlatego metodologia literaturoznawstwa porównawczego przypomina czasami anatomię porównawczą kręgowców. Na czym polega trwający do dawna kryzys komparatystyki? Właśnie na utracie jej tożsamości. Komparatystyka jest dzisiaj, w moim przekonaniu, czymś w rodzaju superfilologii, obejmującej szeroki kontekst kulturowy, ponadnarodowy i międzydyscyplinarny, który i tak każdy porządny filolog powinien zawsze uwzględniać. Jedynie gdy zredukujemy z niejaką pokorą nasze rozważania o komparatystyce do protostruktur filologicznych, to wtedy odnajdziemy, być może, pierwotny sens studiowania literatury w sposób porównawczy, z oczywistym rzecz jasna poszerzeniem pola badawczego na pozaśródziemnomorski, potem euroatlantycki, wreszcie uniwersalny układ kultury literackiej, funkcjonujący dzisiaj dzięki niewyobrażalnej kiedyś sprawności i różnorodności środków przekazu. Dziękuję.

O. Płaszczewska: Pan profesor poszedł tutaj drogą Benedetto Crocego.

A. Borowski: Owszem, a także drogą Auerbacha i Curtiusa. Oni mnie tego nauczyli.

B. Bakula: To znaczy, że mogą być różne tożsamości komparatystyczne.

A. Borowski: Oczywiście.

B. Bakula: Jednak taka jedność umysłu, o jakiej mówi profesor Borowski, dzisiaj już nie istnieje.

A. Borowski: Owszem, nasz problem polega właściwie na braku nowoczesnej refleksji na temat tej jedności. Filozoficzna antropologia klasyczna opierała się na założeniu jedności umysłu. Człowiek, pan i ja, „Grek i poganin”, by zacytować św. Pawła, to wszystko byli mniej więcej tacy sami ludzie, podobnie pojmujący swoje człowieczeństwo. Ale pojawiła się potem problematyka tożsamości, swoistości antropologiczno-kulturowej, „odrębności narodowej”, i to wszystko zainspirowało i teraz jeszcze inspiruje komparatystykę kontrastyczną.

O. Płaszczewska: Współczesne literaturoznawstwo porównawcze próbuje znaleźć drogę powrotu do takiej uniwersalności, wypracowując, między innymi, takie koncepcje, jak zainspirowana badaniami Dionýza Đurišina, a roz-

wijana przez badaczy włoskich z kręgu Armanda Gnisciego, Franki Sinopoli i Nory Moll, teoria wspólnot interliterackich (*comunità interletterarie*), zbudowanych z literatur komunikujących się z sobą ze względu na przynależność terytorialną i podobieństwa typologiczne. Specyficznym przykładem takiej wspólnoty są literatury krajów basenu Morza Śródziemnego. To terytorium, na którym obecne są trzy wielkie religie monoteistyczne i na którym przez tysiąclecia toczy się proces nieprzerwanego nakładania się i przenikania cywilizacji, naturalnie sprzyja dialogowi międzykulturowemu. Jest traktowane jako wzór heterogenicznej *comunità interletteraria*, która oddziałuje także na kultury otaczające. Również ze względu na swoją niejednorodność *Mediterraneum* umożliwia wiarę w powstanie i w miarę harmonijne funkcjonowanie przyszłej, „ostatecznej” wspólnoty literackiej o zasięgu globalnym, której stworzenie sugerują komparatyści.

A. Borowski: Pojęcia takiej wspólnoty nie trzeba stwarzać, wystarczy przypomnieć sobie *la republique des lettres*, a to pojęcie rozwija szesnastowieczny paradygmat.

Andrzej Hejmej: Wróćmy jeszcze do wyjściowego tematu. Zdaję sobie sprawę, że tom *Niewspółmierność* sytuuje się trochę obok polskiej rzeczywistości, ale takie jest zadanie antologii, skoro to „ogród”, „las rzeczy”, *silva rerum*. Antologii nie czyta się w całości – czyta się wybrane teksty. Musimy w tych okolicznościach precyzyjnie pytać o sens dzisiejszej komparatystyki. Jestem bardzo sceptyczny, od razu mówię, jeżeli chodzi o dyscyplinę komparatystyki, wyważanie programów. W książce znalazły się przekłady dwóch programów amerykańskich, a mianowicie Charlesa Bernheimera i Hauna Saussy’ego, ale dwa wcześniejsze, Greene’a i Levina, są do nich w charakterze bardzo podobne. Fakt ten w gruncie rzeczy otwiera miejsce do dyskusji. Jeżeli sformułujemy listę zagadnień, którymi zajmują się polscy komparatyści, to będą one usytuowane trochę obok zagadnień amerykańskich. Nie sądzę jednak, aby teksty zamieszczone w antologii, na przykład Spivak, były aż tak nieprzystające do polskiej rzeczywistości. Profesor Sławek mówił, że poprzez politykę już to się zdarzyło. Tekst Spivak został przetłumaczony na język polski jako *Komparatystyka ekstremalna*, ukazał się w „Recyklingu Idei”, jednym z czasopism społeczno-politycznych, funkcjonuje od ponad roku i rezonuje.

Mamy w istocie rozmaite komparatystyki, zajmujemy się różnymi „komparatystykami”. Diagnozy byłyby chyba zdecydowanie ciekawsze, gdyby poszukać umocowania dla komparatystyki w polskiej rzeczywistości, zastanowić się, w jaki sposób uprawiamy komparatystykę, w jaki sposób myślimy o komparatystyce – nie w sensie programowym, a w sensie naszego działania. Oczywiście, komparatystyka jest polityką. To pierwsza rzecz, o której trzeba by powiedzieć, jeżeli sięgniemy do Philarète’a Chasles’a, Goethego czy Hugona Meltzla. Z inicjatywy Meltzla w latach siedemdziesiątych XIX wieku powstaje pierwsze czasopismo komparatystyczne, w którym podkreśla się,

że komparatystyki nie da się zdefiniować, że to jest sposób działania filologicznego (na łamach „Zeitschrift für vergleichende Literatur”, ukazującego się później jako „Acta Comparationis Litterarum Universarum”, publikuje się skądinąd we wszystkich ważniejszych językach europejskich). Dziś w Polsce często redukujemy sprawy komparatystyki do badań semiotycznych czy strukturalno-semiotycznych. Komparatystykę najczęściej rozumiemy, tu już o tym mówiono, jako badanie związków faktycznych. To zostało niegdyś mocno skrytykowane przez René Etiemble’a oraz paru innych badaczy. Dzisiaj Amerykanie stawiają pytania, które mogą zaskakiwać polskiego komparatystę – jak porównywać, nie porównując, jak porównywać, rezygnując w ogóle z koncepcji porównania, jak teoretyzować kwestię porównywalności. Myślę, że część pierwsza antologii przynosi na te pytania świetną odpowiedź. Czytam zresztą antologię, mając obok niedawno wydaną książkę Tomasza Bilczewskiego *Komparatystyka i interpretacja*. To są prace właściwie równoległe i uzupełniające się. Ich konfrontacja uwydatnia pracę pozycjonowania, którą wykonał redaktor *Niewspółmierności*. Po partiach czysto teoretycznych antologii pojawiają się tylko aplikacje, m.in. przekład, który jest najbliższy Bilczewskiemu, pojawia się też kwestia badań postkolonialnych. W antologii łączy się badania postkolonialne z feministycznymi, genderowymi, najogólniej ujmując – z badaniami nad tożsamością. I to jest komparatystyka, w rzeczywistości „komparatystyka amerykańska”. Trzeba uwzględnić ten fakt, jeśli stawiamy pytanie – naturalnie patrząc przez pryzmat tego, co dzieje się w Europie – o komparatystykę. Jedną więc sprawą zastanawiała mnie w czasie pierwszej lektury. Dopiero na XX stronie, w przedmowie, można się zorientować, że jest to antologia tekstów anglojęzycznych. W gruncie rzeczy jest to *Niewspółmierność. Perspektywy nowoczesnej komparatystyki amerykańskiej*. Trochę inaczej wygląda dzisiaj komparatystyka francuska. Można chyba tutaj zaryzykować twierdzenie, że jesteśmy póki co bliżej właśnie komparatystyki francuskiej. Jeśli w tekście George’a Steinera (jednej z trzech nieamerykańskich wypowiedzi w antologii), jako jedynym, pojawia się zagadnienie mitu, to okazuje się, że przerabiamy go jednak za propozycjami badaczy europejskich, za „szkołą francuską”. Komparatystyka francuska skądinąd eksponuje badania intersemiotyczne, komparatystyka niemiecka – badania intermedialne. To nie jest zarzut. Po prostu teksty pomieszczone w antologii ukształtowała trochę inna rzeczywistość.

Zapytałbym, jaki jest stan dzisiejszej polskiej komparatystyki, to mnie niebywale interesuje, i ten wątek chętnie rozwijałbym dalej. Pytałbym, jaki jest stan komparatystyki amerykańskiej. Sięgnąłbym po głosy polskich literaturoznawców. Nie dalej niż dwie dekady temu, na początku lat dziewięćdziesiątych (a wówczas powstawały pierwsze teksty tej antologii), profesor Ryszard Nycz we wstępie do jednego z numerów „Tekstów Drugich” użył formuły: „od polonistyki do komparatystyki (i z powrotem)”. Nie było komparatystyki (komparatystyki kulturowej), nie było potrzeby szerszej dyskusji. Potrzeba nowej komparatystyki i dyskusji pojawia się w sytuacji – by powrócić do my-

śli profesora Sławka – kiedy jako literaturoznawcy zaczynamy mówić coraz więcej o polityce, kiedy pojawia się np. problem Śląska. W tej sytuacji wszyscy, którzy zajmują się literaturoznawstwem porównawczym, natychmiast starają się doprecyzować termin „komparatystyka”. Pani profesor Korytowska, na przykład, posługuje się formą „komparatystyka literacka”...

Maria Korytowska: Takie określenie pojawia się w nazwie Katedry Komparatystyki; ja używam – jeśli to robię – po prostu określenia komparatystyka. Zresztą katedra prowadzi badania nie tylko w dziedzinie komparatystyki literackiej.

To, co teraz powiem, muszę przedstawić w formie wyznania. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że nie paruję się teorią, nie zgłaszając wobec niej większej nieufności. Po prostu uważam, że w przypadku komparatystyki teoria jest zdecydowanie wtórna. To znaczy, że rozważania teoretyczne na temat komparatystyki, nawet w wykonaniu bardzo wybitnych osób, nie zawsze przekładają się na jakość działalności praktycznej. Bierze się ono z pewnych doświadczeń praktycznych, ponieważ przez parę lat w jakiejś mierze byłam związana z międzynarodową organizacją ICLA/AILC (International Comparative Literature Association/Association Internationale de Littérature Comparée), nawet działając w tak zwanym Komitecie Wykonawczym.

Doświadczenia zbierane wówczas na spotkaniach i kongresach, nielicznych wprawdzie, były następujące: otóż reprezentanci różnych narodów czy kręgów kulturowych przedstawiali stan komparatystyki w swoim kraju. Nie byli to wyłącznie Amerykanie, Francuzi, Niemcy, lecz także przedstawiciele krajów niejednokrotnie dla nas bardzo egzotycznych czy też takich, w których literaturoznawstwo stoi na o wiele niższym poziomie rozwoju, bo i literatura jest młodsza, i metodologia nie istnieje. Na skutek tej konfrontacji zrodziło się we mnie przekonanie, które przetrwało do dziś. Jest to przekonanie o absolutnej niewspółmierności pomiędzy rolą, sytuacją, kondycją komparatystyki poszczególnych krajów. Nie znaczy to, że nie można z sobą rozmawiać, natomiast trzeba pamiętać, że każdy z krajów inaczej postrzega komparatystykę. Zależy to od stopnia rozwoju literaturoznawstwa czy badań kulturowych, od poziomu zaawansowania literackiego. O komparatystyce nie da się właściwie mówić od strony teoretycznej, ustalając jakąś jedną definicję, program lub jedno założenie.

Doświadczenia, uzyskane dzięki kontaktom z europejskimi komparatystami, a przede wszystkim zdobyte w ramach dydaktyki uczelnianej, wskazują, że mamy przed sobą dwie drogi do wyboru. Komparatystyka to albo instytuty i wydziały komparatystyki, gdzie uczy się czegokolwiek, to znaczy tego, na czym znają się poszczególni wykładowcy, albo komparatystyka to ta droga, która jest mi bliższa, a mam nadzieję, że Tobie, Andrzej – zwracam się do profesora Borowskiego – również. Ta druga droga to solidna baza literaturoznawcza, kulturoznawcza oraz językoznawcza, dotycząca piśmiennictwa narodowego. Konieczna, żeby tworzyć narzędzia myślenia, mówienia, pisanania.

Niezbędna jest też znajomość języków, bo bez niej nie ma żadnej możliwości rozwoju. Przez „języki” rozumiem nie tylko języki obce, lecz także języki tych dyscyplin, z którymi się porównuje – muzyki, plastyki i innych dziedzin. Dopiero później, opierając się na twardej strukturze wykształcenia – można mówić o komparatystyce, ale oczywiście w dziedzinie dydaktyki.

Należy więc poruszyć dwa tematy. Pierwszy to kwestia absolutnej różnicy pozycji komparatystyki w różnych krajach, druga – to kwestia jej usytuowania w obrębie dydaktyki, praktyki uniwersyteckiej. Do tego dochodzi jeszcze jeden problem, a mianowicie związki komparatystyki z polityką. I to właśnie wydaje mi się niewspółmierne w stosunku do dyscypliny. Przecież komparatystyka nie musi być i w dużej mierze nie jest związana z polityką. Ona w tę stronę była i jest ciągnięta przez pewne nurty, tendencje, przez niektórych badaczy, ale bynajmniej tak być nie musi. Czwarta wreszcie, bardzo ważna w praktyce, jest mianowicie kwestia naszej komparatystyki, czyli jej sytuacji takiej, jaka była i jaka jest obecnie, oraz – nie wiem, czy to ma sens – przewidywania przyszłości. Dyscyplina nie rozwija się bowiem w związku z okolicznościami zewnętrznymi, polityką, ale poprzez ludzi, którzy się nią zajmują, poprzez ich kompetencje i umiejętności.

I wreszcie ostatnia rzecz – znów pozwolę sobie na pewne wyznanie – jak mówię, ja zawsze jestem po stronie komparatystyki jako praktyki, praktyki badawczej, poruszania się po terenie, który nie jest ograniczony znajomością wyłącznie własnej literatury i własnej kultury. Który, po wtóre, nie jest uzależniony od jakiegokolwiek metodologii, ponieważ metodologie są, moim zdaniem, na usługach badań porównawczych. Dyskutując o komparatystyce, nie używałabym jednak pojęcia filologii, ponieważ dzisiaj jest ono w pewnym sensie nacechowane. Nie mówię, że to jest niesłuszne, lecz że w powszechnym odbiorze to pojęcie rozumiane jest wąsko, jako badanie bardzo związane z przeszłością. Zgadzałabym się jednak z tezą, że komparatystyka to pewna praktyka. Chciałabym, żeby praktyką pozostała i żeby się tej praktyki jak najwięcej pojawiało. Na szczęście mamy tego godne przykłady.

Wreszcie, żeby zakończyć żartobliwie, bo inaczej nie potrafię, o ile profesor Borowski stracił wiarę, a mam dowód, że była to niegdyś bardzo głęboka wiara, o tyle ja (jeżeli można mówić o święceniach kobiety niebędącej bynajmniej zakonnica) wiary nie straciłam. Wierzę w komparatystykę jako dyscyplinę praktyczną. A wracając do wysokiego tonu: mam też nadzieję, że jak najwięcej ludzi będzie tę dziedzinę uprawiać z dobrym skutkiem dla polskiej kultury.

O. Płaszczewska: Czy potrafimy określić, któredy przebiegają granice komparatystyki, filologii i polityki?

M. Skwara: Najprościej rzecz ujmując, z polityką związane jest to, co jest finansowane. W tym sensie komparatystyka wiąże się z polityką, co wyjaśnia też, dlaczego komparatystyka amerykańska aż tak bardzo łączy się z tą

sferą. Wszystko, co finansowane, jest nieodwołalnie skierowane ku polityce. Zwróćmy uwagę, że właściwie każdy punkt naszej rozmowy znajduje odniesienie w wypowiedziach zebranych w *Niewspółmierności*. Bo jeśli pan profesor Borowski mówi o filologii, to proszę zauważyć, jak często, wbrew pozorom, w tekstach amerykańskich pojawia się filologia literatury światowej Auerbacha, Goetheańska *Weltliteratur* komentowana z różnych punktów widzenia. Są to tematy, które powracają niezależnie od zmian paradygmatu. Jeśli mówimy o niewspółmierności, nieprzystawalności instytucji i sposobów rozumienia, przypomina mi się świetny tekst Lindsaya Watersa, opublikowany w antologii, który pokazuje, jak można przy pewnej subiektywnej intencji „czytać” wrogo, ile jest przykładów takich odczytań, a przecież musimy się nauczyć, jak żyć z „niewspółmiernością”. Są różne paradygmaty, są różne nieprzystawalne do siebie sposoby widzenia, a mimo to ciągle rozmawiamy. W tym kontekście pytanie o zasadność i metodę porównania wydaje się szczególnie istotne.

M. Korytowska: Jeżeli można wpaść w słowo... Na kongresie, w którym uczestniczyłam ostatnio, padła propozycja, by tematem kolejnego zjazdu była *posthuman literature*. Wtedy z ust pewnego znanego profesora, zresztą niegdyś szefa ICLA/AILC, padło stwierdzenie: „Na taki kongres ja nie przyjadę...”.

M. Skwara: Ostatni kongres odbył się w Seulu w sierpniu ubiegłego roku. Na obradach plenarnych występowali koreańscy uczeni. I w zasadzie im bardziej występowali, tym bardziej włos się jeżył na głowie. Prezentowana przez nich zdolność porównywania wszystkiego ze wszystkim jest całkowicie pozbawiona sensu. Jeden z mówców zaczął od Trójcy Świętej, a skończył na spotkaniu w Jałcie. I wszędzie było „trzy”. Jak pięknie, prawda? Mówca spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem i został nagrodzony wielkimi oklaskami. Sądziłam, że się przesłyszałam, ale były głosy z sali, że tak właśnie trzeba.

Tymczasem mnie się wydaje, że zawsze istotna jest elementarna refleksja nad tym, co z czym i dlaczego porównujemy. Dlatego z nadzieją czytałam tekst Petera de Bolla o sensie porównywania. Przykład analityczny zaczerpnięty został z literatury narodowej. Mamy tam Wordswortha, Szekspira i Milтона, czyli twórców w ramach jednej kultury, języka, twórców absolutnie opracowanych, przenicowanych. De Bolla proponuje w tym przypadku zabawę w „co z tym jeszcze można zrobić?”. Moim zdaniem goni w piętę. Gdyby taki tekst był właśnie komparatystyczny, wyszedł poza jedną kulturę, toby się doskonale obronił, wskazywałby bowiem to, co nie było jeszcze porównywane. W tekstach już opracowanych w ramach jednej filologii, jednej kultury komparatystyka sprawdza się jedynie w tym sensie, że ukazuje nigdy nie skończoną zdolność wynajdywania tematów, którymi się można zająć, aby pokazać je w nieco innym świetle.

Mam wrażenie, że istnieją dwa bieguny postępowania humanistów. Z jednej strony, postawa czystej filologii w stylu Auerbacha: człowiek będzie sie-

dział i pisał, nie zastanawiając się, kto i za co to wyda, a po latach jest to nadal doskonałe dzieło. Z drugiej – mamy Damroscha, którego idee są niesłychanie komercyjne, choć nie tak przerażające, jak propozycje Franka Morettiego (mam na myśli *distant reading*). Damrosch proponuje działanie według zasady: „tego nie badano, tym się zajmiemy” i jest to postawa charakterystyczna dla Amerykanów. Mam okazję przyglądania się powstawaniu historii literatury światowej przy ich współudziale. Otóż zawsze zastanawiają się, kto to będzie czytał, jacy będą tam twórcy, kogo z kim się zestawi. Prezentują typowo pragmatyczne stanowisko, które czasem rozbija poważne, metodologiczne dyskusje, bo trudno ustalić kwestie merytoryczne, jeśli ciągle padają pytania komercyjne.

Olga wspomniała wcześniej Ďurišina, co skłania mnie do dygresji na temat wartości anegdoty. Otóż stosunkowo niedawno profesor Halina Janaszek-Ivaničková, nestorka polskiej komparatystyki, ujawniła, że Ďurišinowska koncepcja związków międzyliterackich odniosła sukces, bo sam autor kierował dyskusjami nad tym zagadnieniem. Jeżeli coś się nie zgadzało, dzwonił do delikwenta i tłumaczył, że jego wypowiedź nie pasuje do konwencji i tak to długo „ucierał”, aż wszyscy dyskutanci pokornie zgadzali się na zmiany. Warto więc pokazać anegdoty dyskusyjne, a to w *Niewspółmierności* mamy. Jeśli Rorty powie w antologii wydanej po polsku, że studenci filologii niekoniecznie muszą być filozofami, ma to inny ciężar gatunkowy, niż gdyby to powiedział ktokolwiek inny. Fakt, że takie twierdzenie pada, i to właśnie w antologii przetłumaczonej na język polski, może w pewnym stopniu uzdrowić naszą dyscyplinę. Mam na myśli polonistykę, która ma tendencję podążania za modami, boi się posądzenia, że zajmuje się czymś, czym już nikt się nie interesuje. Pokazanie wewnętrznych sporów komparatystyki amerykańskiej, walki w gruncie rzeczy o kompetencje, o pieniądze, o utrzymanie wydziału, pozwoli, być może, odczarować dyskurs polski, który jest z jednej strony snobizmem podszyty, a z drugiej – małym pragmatyzmem... w Ameryce mówi się inaczej...

T. Sławek: Mówiło się inaczej, trzydzieści lat temu...

M. Skwara: To też bym widziała jako wielki pożytek z tej antologii, właśnie pokazanie tego, jak się mówiło, poprzez odkrywanie „kuchni”, anegdot, rozmaitych sporów. Cenię twórców tej antologii za zdolność ujawniania ironii i autoironii.

O. Płaszczewska: Jakie są inne zalety książki, dzięki której podjęliśmy dyskusję?

T. Sławek: Państwo mówili o tylu ważnych rzeczach. Może wspólnym mianownikiem będzie dla nich to, za co książkę pana Bilczewskiego i jego współpracowników warto pochwalić. To książka, która jest właściwie nie

o komparatystyce, tylko o statusie profesji, i zasadniczo to też wielki powód, dla którego powinniśmy okazać wdzięczność panu Bilczewskiemu i współpracownikom.

Prawdą jest, że wiele z tych anglosaskich tekstów jest nadętych i ma taką, jak się pan profesor Bakula wyraził, kosmiczną skalę. Zgadzam się z prof. Skwarą, że de Bolla rzeczywiście w piętękę goni i na pytanie „co z tym jeszcze zrobić” odpowiedział: „upstrzyć terminologią i pewnego rodzaju retoryką”. Ale to drobiazg. Ważne jest, że Amerykanie, zajmując się sobą, jak Państwo powiedzieli, wiedzą, jak to robić.

Sądzę, że amerykańscy komparatyści zajmują się sobą z kilku powodów. Po pierwsze, nie chcą, żeby się nimi zajęli inni. Po drugie, wiedzą, że inni i tak się nimi zajmą. W związku z tym oni muszą zewrzeć szeregi, być może trochę paranoicznie, by zobaczyć, jaki jest stan ich świadomości. Czytam więc *Niewspółmierność* także jako diagnozę stanu, w jakim znajduje się refleksja humanistyczna ogólnie w świecie, w tym przypadku w Ameryce. Dużą zasługą książki pana Bilczewskiego jest to, że daje asumpt do dyskusji nad stanem świadomości profesji, a szczególnie komparatystyki.

O. Płaszczewska: Spróbujmy zatem zastanowić się nad naszą komparatystyczną tożsamością....

T. Sławek: Zgadzam się z panem profesorem Borowskim, że filologia jest ważnym słowem i komparatystyka widziana przez jej pryzmat to zapewne *nihil novi*. Przekonuje mnie też teza, że literaturoznawstwo porównawcze to rodzaj filologii. Bliskie jest mi również twierdzenie, że komparatystyka jest sposobem działania. Zastanawiam się, czy da się obronić jej filologiczne korzenie. Mam tu poważne wątpliwości, między innymi dlatego, że nie istnieje dzisiaj klasyczna podstawa filologiczna, łacina, greka, jeden język orientalny, na przykład hebrajski, czyli to, co powinno być bazą dla każdego szanującego się filologa. Uderzmy się w piersi. Z tego wynika przekonanie, że komparatystyka to jednak wywodzący się z filologii sposób działania refleksyjnego. Wspomniany przez panią Skwarę Waters, którego artykuł jest najklarowniejszym i „najfajniejszym” tekstem, gwiazdą przewodnią książki, mówi w pewnym momencie bardzo wyraziście: „bezrefleksyjne życie właściwe tym, którzy kształtują je zgodnie z dyktatem tego, co Geertz nazywał «gęstymi pojęciami», wolne od rzadkich pojęć tworzonych przez ludzi, obiecuje «postludzki animalizm»”, postludzką literaturę. Krótko mówiąc: widzę komparatystykę jako sposób działania refleksyjnego i nierefleksyjności istnienia. Tak bym to nazwał. W tym sensie zgadzałbym się z tymi dość licznymi w antologii głosami, które traktują komparatystykę jako działalność nieco subwersywną wobec przyjętych stylów bycia, życia i myślenia.

Dobrze, że pamiętamy o tradycjach filologicznych, że one ciągle są praktykowane. Literaturoznawstwo porównawcze o nachyleniu filologicznym – w świetle tego, co profesor Borowski powiedział o utracie jedności umysłu

ludzkiego – jest projektem w pewnym sensie syzyfowym. Waters bardzo ładnie to podsumowuje: „Nie ma czegoś takiego jak esencja człowieczeństwa. Jednak zebranie się wokół pewnego przedsięwzięcia artystycznego stawia ludzi dzielących pogląd, iż konkretne dzieło sztuki robi z nimi coś dobrego, w sytuacji, która pozwala odczuć, że kody społeczne zdolne do tego, aby ich podzielić, zostały zawieszono”. Otóż ja sobie ten cytat nad łóżkiem wieszam. Ten projekt jest syzyfowy, bo my tej wspólnoty ludzkiej, w sensie esencji, nie znajdziemy. Jednak ten projekt komparatystyczny, w zapleczu filologiczny, z obecnym sposobem działania refleksyjnego, określiłbym jako nieustanne próby dochodzenia do niemożliwego scalenia esencji ludzkiej, oczywiście wokół dzieł sztuki. Jest tu miejsce na wspomnianą przez panią Płaszczewską wspólnotę Morza Śródziemnego, z zastrzeżeniem, że nie można zapominać o różnicach obecnych tam religii monoteistycznych. To jest fundamentalna sprawa. Na marginesie można dodać, że bardzo ciekawe rzeczy dzieją się z późnym Derridą w Algierze. Warto byłoby poświęcić temu małe seminarium. Zresztą wyszła taka książka *Derrida à Alger*. Tam jest ten właśnie projekt: czy my możemy wokół Morza Śródziemnego zrobić coś razem? Brakuje nam pewnie wiedzy na temat islamu i pewnie będziemy za to pokutować.

Wracając do naszej dziedziny – o literaturoznawstwie porównawczym nie należy myśleć w kategoriach osobnych departamentów komparatystycznych, bo to byłby cios w samo serce tego, co ma być inter-, transdyscyplinarne. Oczywiście, mam świadomość, że amerykańska komparatystyka jest bardziej niż polska narażona na presję rynku i mechanizmów finansowania. Jednak wydaje mi się, że ta rozmowa stanowi też fragment pytania, czy nasze środowisko jest gotowe na poważną dyskusję o zmianach. Obawiam się, że nie bardzo. Może jednak to nasze małe spotkanie okaże się początkiem jakiejś większej debaty. Jeśli Państwo pozwolą, jeszcze jeden cytat. Francesco Loriggio posługuje się słowem, którego tutaj nie użyliśmy, a które w polskiej tradycji ma dość niejednoznaczną wymowę. W antologii znajdziemy artykuł, który przemawia na rzecz właściwego rozumienia kosmopolityzmu. Wydaje mi się, że zdanie „komparatysta jest z definicji kosmopolitą, ale nie powinien być kosmopolitą bez korzeni” oddaje istotę filologii, o jakiej mówił profesor Borowski. Chodzi bowiem o kosmopolityzm z poważnym zapleczem narodowej kultury, nie lubię tego przymiotnika, ale nie ma wyjścia.

M. Korytowska: Jeżeli można, wypowiem się *ad vocem*. Chciałabym się podpisać pod jedną rzeczą i stanowczo przeciwstawić drugiej. Mianowicie podpisać pod pomysłem, żeby komparatystykę traktować jako sposób myślenia. Profesor Sławek przecież chciał powiedzieć, że komparatystykę należy pojmować jako sposób myślenia o literaturze i sztuce, biorąc pod uwagę też inne sztuki.

Stanowczo natomiast chciałabym się przeciwstawić wplataniu komparatystyki w politykę, ideologię. To, moim zdaniem, nie jest konieczne. Polityki da się uniknąć. Jako punkt wyjścia proponowałabym to, co Niemcy w XIX wie-

ku nazywali *das Interessant*: Schlegel sądził, że taki powinien być główny przedmiot literatury, ale można to również odnieść do literaturoznawstwa, jak sądzę. Mam na myśli branie pod uwagę przede wszystkim tych zagadnień, które są interesujące, które sytuują się na obrzeżach literatur różnych bądź literatury i sztuki, i zajmowanie się tymi problemami bez zaplecza ideologicznego, bez zaplecza koniecznie metodologicznego, a zwłaszcza przejętego, modnego, stosowanego w danym momencie. Tak traktowana komparatyka – jeśli weźmie się pod uwagę światowe, ale również polskie dokonania – ma po prostu sens. Wpływanie automatycznie w politykę, tak jak to się dzieje tam, gdzie się musi dziać, czyli na przykład w Stanach, albo gdzie się musiało dziać ze względów zewnętrznych, u nas jest niepotrzebne i stanowi fałszywą ścieżkę, która zepchnie nas albo w jakieś ideologiczne „za”, albo w jakieś ideologiczne „przeciw”. Uważam, że trzeba się zajmować się tym, co interesujące. Tym, co ktoś potrafi, do czego ma kompetencje, umiejętności i serce.

A. Borowski: Myślę, że słowo „kosmopolityzm”, skądinąd bardzo mi bliskie, nie jest tutaj konieczne, bo to neologizm (choć nawiązujący do Kantowskiego *Weltbürgerrecht*) jednak późny, upowszechniony chyba dopiero przez stalinowską propagandę antyeuropejską. Istnieje znacznie trafniejsze od niego pojęcie – uniwersalizm. Mówimy o uniwersalizmie literatury, kultury, i to jest słowo bliższe filologii. Kosmopolityzm ma natomiast pewne ideologiczne nacechowania. Co do polityczności: przypomnijmy sobie, jak to za czasów naszej młodości komparatyka była podejrzana z powodów politycznych, potem znowu z tych samych powodów zrobiła się modna. Obawiam się, że komparatyka w ogóle, jak już mówiłem, miała zawsze jakieś polityczne konotacje.

M. Korytowska: Miała, ale nie musi mieć.

A. Borowski: Owszem, choć jednak miała, to dlatego ją uprawiamy, że już nie musi mieć. Poza tym samo pojęcie narodowej literatury rodzi wątpliwości. Przecież *scriptores Poloniae* oznacza u Starowolskiego piszących też po łacinie. Zatem język etniczny nie musi być wyznacznikiem literatury narodowej. Kiedy profesor Sławek mówi o śląszczyźnie czy góralszczyźnie, to są to może anegdoty, ale sygnalizują problem. Otóż niechby komparatyka odpowiedziała na pytanie, co to znaczy narodowa literatura dzisiaj: na przykład co z tym, co pisze Pakistańczyk w Anglii po angielsku, zresztą coś podobnego było z Conradem... A dalej jeszcze pytanie o relacje między pojęciami literatury narodowej i literatury powszechnej.

O. Płaszczewska: Wykorzystam wypowiedź profesora Borowskiego jako pretekst. Wszyscy tutaj jesteśmy polonistami. Wszyscy poruszamy się po terytorium filologii, która jest filologią narodową, choćby ze względu na przynależność językową. Czy każdy z Państwa, począwszy od redaktora antologii,

mógłby określić, ku jakim sferom porównania skierowali się Państwo, wychodząc z terytorium polonistyki, jakim obszarem komparatystyki się Państwo zajmują?

Tomasz Bilczewski: Zacznę od tego, że padło tutaj pod adresem *Niespółmierności* wiele interesujących uwag, za które bardzo dziękuję. Nie sposób odnieść się w tym momencie do wielu zasługujących na komentarz kwestii, spróbowałbym jednak zatrzymać się przy dwóch – jak mi się wydaje – najistotniejszych.

O. Płaszczewska: Panie Tomku, a odpowie Pan na pytanie?

T. Bilczewski: Odpowiem, ale najpierw chciałbym nawiązać do wypowiedzi pana profesora Andrzeja Borowskiego, który przypomniał, bardzo ważną dla literaturoznawstwa porównawczego, tradycję filologii. To podstawowy punkt odniesienia dziewiętnastowiecznej komparatystyki. Zwrócę tylko uwagę, że młoda dyscyplina jawiła się wówczas wielu jej zwolennikom jako reforma filologii. Programowe – powiedzielibyśmy z perspektywy czasu – wystąpienia takich uczonych, jak François Raynouard, Philarète Chasles czy Hugo Meltzl de Lomnitz były skoncentrowane na rewizji praktyk kultywowanych na obszarze historii literatury czy tradycyjnej filologii, której zaczęto tworzyć konkurencję w postaci „filologii nowej”. Skąd to się wzięło? Ano z pojawiającej się z wyjątkowym nasileniem potrzeby dyskusji o metodzie. Znamienne, że ówczesna debata nad dawnymi pracami poświęconymi, powiedzmy, *langue d’oc*, by odwołać się do przykładu, nie tyle podważała wartość istniejących już rozpraw, np. Donatusa Provincialisa, ile widziała w nich metodologiczne mankamenty, mówiąc wprost: brak odpowiedniej procedury analitycznej. W zasadzie dyskusja nad dziewiętnastowieczną komparatystyką była wielką dyskusją nad tradycją filologiczną.

A. Borowski: I jej przystosowaniem do tego, co teraz robimy.

T. Bilczewski: Oczywiście. Trzeba się jednak zastanowić, czy jesteśmy w stanie bronić filologii jako kategorii spajającej różne – niejednokrotnie nieprzystające do siebie – sposoby uprawiania komparatystyki. Dyscyplina mówi obecnie wieloma językami, często odmiennie przez nas wartościowanymi. Ponieważ wspomniano tutaj tekst Petera de Bolla – dość kontrowersyjny, trudny w lekturze, miejscami mocno dyskusyjny i pewnie niejednokrotnie irytujący językowo – chciałbym zaproponować, by spojrzeć na niego od nieco innej strony. Według mnie nie chodzi w nim o to, by uprawiać żonglerkę terminologiczną i drażnić czytelnika, lecz o to, by osłabić nieco nasze dobre samopoczucie i pokazać, że to, co porównujemy – elementy porównania – mają niesłychanie złożoną naturę, że są niestabilne, nieustannie się różnicują, przesuwają swoje granice, są podmiotowo zapośredniczone. Wspomniałem już przed momentem o filologii, ale chciałbym jeszcze dorzucić komentarz do drugiego ważnego

wątku tej rozmowy: wydaje mi się, że chyba trochę nie doceniamy Amerykanów, którzy w drugiej połowie XX wieku stworzyli wspaniałą instytucjonalną tradycję komparatystyki. Nie postrzegałbym prowadzonych przez nich debat jako wyrazu szczególnego zadufania w sobie, ale rozwiniętej zdolności do autorefleksji. Proszę wskazać jakąkolwiek komparatystyczną tradycję, która co dziesięć lat bada swoje własne akademickie fundamenty, legitymizację wytwarzanej przez siebie wiedzy. Warto chyba też przypomnieć, że to właśnie amerykańska komparatystyka dała w okresie wojennym i powojennym schronienie wielu wybitnym europejskim intelektualistom, a jej struktury – już znacznie później – pozwalały rozwinąć skrzydła tym wybitnym uczonym, których długo nie doceniano w europejskich akademiach, a którzy po latach wracali do nich w atmosferze towarzyszącej im sławy.

M. Korytowska: Francuzi wydają regularnie czasopisma, publikują okresowo tak zwany *Bilan des recherches*...

T. Bilczewski: W Stanach Zjednoczonych tego typu działania wyglądają jednak inaczej, inny też jest zasięg ich oddziaływania. Bezprecedensowe wydaje się to, że amerykańska komparatystyka bada swoje podstawy w sposób niezwykle otwarty. Teksty raportów są wielokrotnie publicznie komentowane. Zanim zostaną przedstawione w swym ostatecznym kształcie, poddaje się je dyskusji, co znakomicie pokazuje historia ostatniego amerykańskiego dokumentu przygotowanego przez Hauna Saussy'ego, stanowiącego podstawę późniejszej książki *Comparative Literature in an Age of Globalization*. Przy okazji redagowania tekstów do *Niewspółmierności* miałem możliwość przekonać się, jak zmieniały się poszczególne ich akapity, jak łączyły się ich wcześniejsze wersje. Innymi słowy, to wielka amerykańska debata nad stanem dyscypliny, oddziałująca na wiele obszarów dzisiejszej humanistyki. Tej umiejętności otwartego debatowania właśnie chyba u Amerykanów nie doceniamy, dobrze też wiemy, że aby coś na dobre zaistniało w przestrzeni uniwersytetu, musi przejść długą drogę instytucjonalizacji (przy okazji: ostrożnie trzeba podchodzić do porównywania polskich i amerykańskich struktur akademickich, niezmiernie zróżnicowanych w zależności od regionu i jego uniwersyteckiej tradycji – często są one do siebie po prostu nieprzystające). Niezwykle intensywny instytucjonalny rozkwit komparatystyki amerykańskiej nie był oczywiście pozbawiony politycznych przesłanek, nie chodzi mi jedynie o zimnowojenne strategie opisywane przez Spivak. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte w Stanach Zjednoczonych to oczywiście konsekwencje wywołanej wojną wędrówki europejskich polihistorów, z niej wyłania się zaproponowana przez Welleka wizja komparatystyki jako miejsca poznawania „uniwersalnego człowieka” i jego wytworów. Szybko jednak pojawiły się nurty podminowujące to uniwersalne przesłanie, spychające w cień założenia dyscypliny, o której marzył Wellek. I jeszcze jedno: to, co wydaje mi się u Amerykanów szczególnie cenne, to stworzenie w ramach komparatystyki tradycji mówienia o miejscu

dyscypliny w ramach humanistyki i struktury nowoczesnego uniwersytetu, który coraz trudniej w XX wieku radził sobie ze swymi, humboldtowskimi z ducha, podstawami antropologicznymi. Przywołam w tym miejscu książkę Billa Readingsa *The University in Ruins*, pracę znakomicie zapowiadającego się komparatysty, który zginął przedwcześnie w katastrofie lotniczej (przypomnianą w antologii dzięki tekstowi Jonathana Cullera).

A teraz, Olgo, spróbuję jeszcze odpowiedzieć na Twoje pytanie. Komparatystyka według mnie to szkoła krytycznego myślenia, w której stwarzamy sprzyjające warunki do tego, by zastanowić się, co kulturowo własne, bliskie i znajome poprzez konfrontację z tym, co inne. To przestrzeń oglądania siebie i różnego typu wspólnot w „innym wzorze” – jak mówił Eliot, a za nim kolejni poeci. Komparatystyka sprzyja zadawaniu pytań o kształt języka, którym o świecie opowiadamy, w konfrontacji z innymi językami, dlatego też w sposób szczególny interesuje mnie problematyka przekładu, spotkania języków właśnie, ich transferu, translacji, niesłuchanie przewartościowana przez akademię w ciągu ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat. Oczywiście, bliska nam wszystkim jest literatura; dziś komparatystyka, w czym rzecz jasna nie jest osamotniona, stawia pytania o jej zmieniającą się pozycję i rolę w kulturze, we wspólnotach. Nasza działalność wywodzi się z tradycji studiowania „literatury narodowej”; literaturoznawstwo porównawcze pokazuje przemianę, jakiej podlega rola tego pojęcia w kształtowaniu podmiotowej tożsamości. We wspomnianej już książce Readings zwraca uwagę, że zmieniająca się struktura życia uniwersyteckiego to znakomity przykład przestrzeni, w której dokonuje się rewizja pojęcia „narodu”. Dyskusja nad tą kwestią rysuje się przed nami coraz wyraźniej, zwłaszcza w momencie, gdy polski system szkolnictwa wyższego przechodzi gruntowne zmiany. Proces ten zmusza nas do coraz poważniejszej refleksji nad naszym umiejscowieniem w ramach większych struktur akademickich, co widać choćby w dyskusji nad parametryzacją, nad tym, jak będziemy oceniani jako badacze i dydaktycy, nad tym, jak będzie szacowana wartość pracy naszych studentów. Czekają nas w tej materii sporo do zrobienia, a jak sądzę, komparatystyka amerykańska dysponuje doświadczeniem, którego nie można lekceważyć.

A. Hejmej: To, o czym teraz mówisz (instytucja, parametryzacja...), bardzo mnie niepokoi. Odchodzisz radykalnie od tego, co jest istotą Twojej antologii. Wrażenie po lekturze Twojej pracy doktorskiej i antologii jest takie, że stawiasz zdecydowanie na to, co profesor Sławek nazywa „gestem komparatystycznym”, na to, co „sąsiedzkie”, co otwarte na przygodność interpretacji, a z tego wynika kwestia „polityki”. Nie wyjdziemy poza politykę. Pani Profesor, już sam fakt, że zestawiamy danego pisarza z innym pisarzem, jest gestem politycznym, krótko mówiąc.

M. Korytowska: Dla mnie nie. Przed laty poznałam panią profesor z Norwegii, niejaką Luizę Vinge, która się zajmowała właśnie literaturą norweską z tak

zwanych małych obszarów. Czyli literaturą lokalną. W tym nie było cienia polityczności. Ona po prostu zajmowała się lokalną literaturą pisaną, jak rozumiem, w języku norweskim, ale takim specyficznym dla danego regionu. I nie było w tym cienia polityki, może dlatego, że to Norwegia. Nie odczuwano tam takiej konieczności.

A. Hejmej: Sam fakt, jak jesteśmy postrzegani jako komparatystyka polska na świecie, jest poniekąd gestem politycznym. Isabelle Piette mogła w latach osiemdziesiątych pisać, że nie ma w tej części Europy komparatystyki (interdyscyplinarnej). Ale i dzisiaj, jeżeli w jakimkolwiek raporcie pojawia się tekst o komparatystyce środkowoeuropejskiej, to jego autorem jest ktoś spoza naszej rzeczywistości (politycznej). To skutek zbędnej wstrzemięźliwości: nie jesteśmy nadal w stanie zająć się na przykład badaniami intermedialnymi.

Ciekawszy w tym kontekście politycznym byłby wątek interpretacji. Tekst George'a Steinera *Czym jest komparatystyka literacka?* przynosi tutaj wywoławczą diagnozę, chociaż – i to mnie tu interesuje w sposób szczególny – sama propozycja nie powstałaby, gdyby nie konwencja wykładu uniwersyteckiego. Steiner w zasadzie nigdy nie interesowało to, czym jest komparatystyka, że to mogą być trzy nurty, tematologia etc. Jego wcześniejsze propozycje są zupełnie inne, on mówi o interpretacji w zupełnie szerokim znaczeniu, rzecz jasna hermeneutycznym...

T. Bilczewski: Przepraszam, że Ci wchodzę w słowo. Steiner mówi o komparatystyce także wcześniej, i w innych miejscach. Ten temat nie pojawia się w jego wykładzie nagle i niespodziewanie.

A. Hejmej: Steiner mówi o działaniu komparatystycznym, ale nie o instytucji. Wykład natomiast, ze względu na zobowiązujące zaproszenie i konwencję, zmusza go do wyznaczenia tych trzech kwestii: przekładu, którym się zawsze zajmuje, „tematologii” i recepcji literatury.

T. Sławek: W antologii przywołany zostaje też głos Rey Chow, która powiada, że nie możemy zostawić polityki i zająć się mediami. Oczywiście jest to podszyte ironią.

A. Borowski: Ja bym się politycznością nie zajmował. Raczej bym egzorcyzmował ideologię i ideologizację.

T. Bilczewski: Tyle że chyba nie mamy wyjścia, musimy brać pod uwagę politykę, nawet w najbardziej elementarnym jej rozumieniu, przyglądać się uważnie, „na co politycy nam pozwolą”. Współczesny uniwersytet to nie jest już tylko *universitas*, wspólnota. To także mechanizm korporacyjny, w którym coraz istotniejsze są czynniki budżetowo-biznesowe.

A. Borowski: Nie wiem, czy to jest źle, wie Pan, to taka sobie finansowa ontologia uniwersytetu...

T. Bilczewski: To trudna sprawa. Uniwersytet powinien być, z jednej strony, jak najlepszą korporacją, której mechanizmy działania pozwalają uczonym na maksymalną kreatywność (życzyłbym sobie, żebyśmy mieli takie warunki pracy jak komparatyści w Stanach. Taką wolność dostępu do badań i publikacji na przykład). Z drugiej strony, trzeba dbać, by uniwersytet nie zapomniał o swoich korzeniach, o tym, że jest właśnie wspólnotą uczonych, gdzie pewnych wartości broni się dla nich samych, a nie ze względu na rynkowe uwarunkowania. I jeszcze kilka słów tylko. Jak rozumiem, pytanie o praktykę i zainteresowania dotyczy także dydaktyki. Mamy od kilku lat na Wydziale Polonistyki Centrum Studiów Humanistycznych, powołane do istnienia dzięki życzliwości władz rektorskich i wydziałowych oraz międzynarodowym kontaktom profesora Michała Pawła Markowskiego. Nasza działalność polega na przyciąganiu cudzoziemców zainteresowanych studiowaniem literatury i kultury, zwłaszcza polskiej, w Krakowie prowadzimy programy – często indywidualnie dopasowane do potrzeb każdej z partnerskich uczelni, co wymaga ogromnej pracy – na wszystkich poziomach: od szkół letnich po studia doktoranckie. W ciągu ostatnich lat przygotowaliśmy programy dla najlepszych: Princeton, Northwestern, Brown itd. Chciałbym jednak zwrócić szczególną uwagę na nasz międzynarodowy program doktorski Cultural Studies in Literary Interzones. Centrum Studiów Humanistycznych w latach 2009–2018 działa bowiem jako część konsorcjum szesnastu uniwersytetów z Azji, Australii, Ameryki Południowej i Ameryki Północnej. Studenci mają możliwość uzyskania doktoratu w trzech dziedzinach: komparatystyki, kulturoznawstwa i antropologii obrazu. Stwarza się im niezwykle szansę uzyskania znakomitego stypendium, podróżowania, intelektualnego rozwoju na kilku uczelniach, w tym przynajmniej przez semestr na innym kontynencie. Dyplomy doktorskie wydają uniwersytety z Tybingi, Perpignan, Bergamo, Rio de Janeiro i New Delhi. Zajęcia prowadzone są głównie po angielsku i francusku, jakkolwiek dopuszcza się wykorzystywanie oficjalnych języków instytucji wchodzących w skład konsorcjum.

M. Korytowska: To mi przypomina nasze czasy z obowiązkową hegemonią rosyjskiego.

T. Bilczewski: Nie ma najmniejszego śladu hegemonii. Jest pluralizm, który pozwala spotkać się ludziom z odległych zakątków świata. W praktyce wygląda to, jak do tej pory, znakomicie. W tym roku w ostatniej fazie rekrutacji pojawiło się sześćdziesiąt projektów doktorskich, wśród nich autorstwa kandydatów z Polski. Co więcej, po raz pierwszy Polak uzyskał jedno z dziewięciu stypendiów, co, w świetle ogromnej konkurencji, stanowi niemałe osiągnięcie. Nasi młodszy koledzy znakomicie sobie radzą. Jeszcze raz podkreślam, angielski i francuski to w tym programie dwa równorzędne języki.

M. Korytowska: A studenci wybierają francuski?

T. Bilczewski: Tak wybierają. Warto dodać, że jest to pierwszy humanistyczny program doktorski sponsorowany w całości przez Unię Europejską w ramach systemu Erasmus Mundus. Udało się to, mimo że – jak wszyscy wiemy – w projektach unijnych humanistyka zazwyczaj przegrywa z priorytetem „bio, techno, info”. Droga, jaką przeszła ta inicjatywa, by uzyskać poparcie, to dobra odpowiedź na pytanie o polityczność komparatystyki. Polityka zawsze kształtowała naszą dyscyplinę, nadal kształtuje i wszystko na to wskazuje, że nic się pod tym względem nie zmieni. Trzeba tylko mieć nadzieję, że wspólnym wysiłkiem uda nam się wykorzystać politykę dla jej dobra. To trochę od nas zależy, jak będziemy negocjować nasze miejsce w ramach nowoczesnego uniwersytetu.

O. Płaszczewska: Panowie spojrzeli na komparatystykę głównie przez pryzmat instytucji. Wzmianka o Steinerze pozwala nam wrócić do pytań o obszary komparatystyczne, którymi się Państwo zajmują. Jak to wygląda, na przykład, w Poznaniu?

B. Bakula: Komparatystyka jest dla nas próbą odpowiedzi na potrzebę praktycznego połączenia działalności badawczej i edukacyjnej. Przed 1989 rokiem polonistyka – jak większość „narodowych” dziedzin humanistyki w krajach komunistycznych – była bardzo jałowa, to znaczy wypłukana z wszelkiej żywej wielokulturowości. W minionych dwudziestu latach gwałtownie wzrósł głód wypełnienia tej luki. Głód pewnej nowej perspektywy wynikającej z sąsiedztwa, które nie okazało się wartością pustą, choć takie były pozory. Patrzyliśmy na siebie przez granicę, ale w zasadzie niewiele o sobie wiedzieliśmy. Znam to z doświadczenia, gdyż nieustannie jeżdżę po krajach sąsiedzkich, zbieram literaturę i staram się dojść do porządku także z tą wiedzą.

Moja, a właściwie nasza (wypowiadam się w imieniu zespołu, który reprezentuję) koncepcja komparatystyki wyrosła z potrzeby połączenia filologii ze studiami w szerszym sensie kulturowymi. My to przełożyliśmy na praktyczny aspekt: stworzyliśmy dwustopniowy model studiów terytorialnych w Poznaniu. To się nazywa: filologiczno-historyczne studia środkowoeuropejskie. Podkreślam, że są to studia łączące dwie dziedziny bardzo bliskie, a jednocześnie mające swoje osobne i pilnowane zazdrośnie przedmioty badań. Udało się to spoić. Trzecim obszarem jest właśnie środkowoeuropejskość rozumiana filologicznie, historycznie, kulturowo i politycznie, czy nawet etnologicznie.

Takie filologiczno-historyczne studia środkowoeuropejskie to przede wszystkim nauka trzech języków zgodnie z modelem klasycznym komparatystyki, tutaj są to języki wschodnio- i zachodniosłowiańskie: czeski, węgierski i ukraiński. Do tego dodajemy, obok historii regionu, elementy prawa czy ekonomii. To jest gigantyczny wymiar godzinowy, razem ponad 3000 godzin

na dwóch stopniach, wykraczający poza możliwości i założenia polonistyki. Staramy się to realizować w sposób w miarę skrupulatny. Jest to koncepcja komparatystyki praktycznej, która się sprawdza i musi się sprawdzić poprzez wykonywanie pewnego typu czynności porównawczych. Musimy odnosić się do rzeczywistości środkowoeuropejskiej w każdym niemal aspekcie naszego działania, a zwłaszcza wtedy, kiedy mówimy o polskiej literaturze i historii. To jest punkt wyjścia. Idea ta jest rezultatem studiów nad *Prelekcjami paryskimi* Mickiewicza, bo to stamtąd została wywiedziona koncepcja integracji. Jest to więc typ komparatystyki integralnej. Tak jak Mickiewicz w swoim czasie, łączymy filologię, historię, obserwację nad językiem, życiem społecznym i pewną ideą wspólnotową, która musi być wyraźnie zauważalna. Wydaje nam się, że ma sens zwłaszcza uczenie trzech języków, poznawanie przynajmniej czterech bądź pięciu literatur. Oprócz kursu literatury polskiej jest tam także kurs literatury czeskiej, słowackiej, węgierskiej, jidysz. To są wszystko, z wyjątkiem literatury serbołużyckiej, przedmioty obligatoryjne. Staramy się łączyć filologiczność z historią jako niezbędnym dopełnieniem studiów filologicznych. Nie możemy sobie wyobrazić innej pracy komparatysty. W związku z tym wyłania się ta nieszczęsna inter-, a nawet transdyscyplinarność, która z jednej strony jest przekleństwem filologii, a z drugiej daje jej pewne instrumenty i narzędzia. Nie wiem, jak to się skończy. Jesteśmy w trakcie eksperymentu. Taki program ułożyliśmy i on nas obliguje do pewnych komparatystycznych zachowań nie tylko badawczych, ale przede wszystkich edukacyjnych. Z tego też wynikają dalsze konsekwencje. Bliższa w tej koncepcji komparatystyki, jako pewnej praktyki edukacyjnej, integrującej pewną wyselekcjonowaną pulę dziedzin, jest formuła kulturologiczna niż czysto filologiczna. Dlatego proponujemy hungarologię, a nie hungarystykę jako czystą filologię czy naukę języka wyłącznie, bohemoznawstwo, a nie filologię czeską bądź słowacką, bądź ukrainoznawstwo jako poszerzającą dziedzinę, która zwraca uwagę na folklor, historię, politologię. To także formuła zapoznawania terytorialnego integrującego, przenikającego, transetnicznego.

Działając w ten sposób, chcielibyśmy uzyskać edukacyjny efekt integralności poprzez wiedzę o różnicach i podobieństwie na wielu płaszczyznach życia historycznego i współczesnego w Europie Środkowej. Jak powiedziałem, przyświeca nam idea, którą wyczytaliśmy właśnie w *Prelekcjach paryskich* Mickiewicza. Tam jest źródło polskiej komparatystyki, tam jest ta fundamentalna idea, którą poszerzamy poza kraje słowiańskie. Rzecz jasna, na pewno w węższym nieco obszarze terytorialnym, starając się jednak łączyć tę materię historii, geografii, filologii z pewnym duchem, który w tych *Prelekcjach* wciąż jest i żyje. Ważne są zwłaszcza niektóre aspekty tych lekcji. Nam nie chodzi o jakieś mistycyzmy, o wyłącznie polityczne orientacje Mickiewicza, które on tam zaznacza. Chodzi o metodę łączenia zjawisk. Warto dojść do głębszej istoty metody Mickiewicza, by można było z niej czerpać. Nasz ideał to Mickiewicz jako komparatysta.

A. Borowski: ... i jako filolog.

B. Bakula: Ale również komparatysta. Tutaj Mickiewicz jest pewnym ważnym punktem wyjścia.

A. Borowski: Chciałem się tylko dopytać, czy ten projekt ma coś wspólnego z Collegium Gnesnense?

B. Bakula: Nie, to jest zupełnie osobne przedsięwzięcie. To są studia dwuwydziałowe, w formule makrokierunku, i wymagają wielkiej energii oraz współpracy. Mamy w zasadzie do czynienia z eksperymentem, którego istotą jest koncepcja komparatystyczna, a nie koncepcja wyjęta z uczenia tylko literatury, historii czy muzyki, ale właśnie ich łączenia. Notabene, jest tam też spory dział poświęcony historii i teorii muzyki, filmowi, a nawet teatrowi w Europie Środkowej. Tak wygląda obszar, którym zajmujemy się w Poznaniu na polonistyce.

O. Płaszczewska: A czym zajmują się i jak rozumieją komparatystykę badacze krakowscy?

A. Borowski: Powiem krótko, w trzech akapitach, i w nich postaram się udzielić odpowiedzi na Pani pytanie o funkcjonalność komparatystyki. Zacznę od dydaktyki. Mam kurs tak zwanej literatury staropolskiej, ale oczywiście nie „staropolszczyzny” tylko. Trudno jest przecież zignorować trzy wielkie tradycje, z których polska kultura literacka wyrastała: *traditio hebraica*, „*pagana*” i *Christiana*, a to już jest obszar literatury powszechnej. W dodatku nasza literatura narodowa to też twórczość łacińska. Mamy więc z konieczności komparatystykę aplikowaną do wykładu o dawnej literaturze polskiej jako europejskiej. Nazywam to europeistyką literacką, bo to są faktycznie European Studies, ale skupione na literaturze.

Punkt drugi: studia tożsamościowe. To, czym się zajmuję, to problem tożsamości narodowej i jej wyznaczników. Komparatystyka, jakkolwiek by się ją tu rozumiało, stawia pytania o literackie wyznaczniki tożsamości, o jej formuły. Literatura bowiem kształtuje świadomość narodową, czyli tożsamość uświadomioną, i jednocześnie ją wyraża.

Wreszcie punkt trzeci: studia interdyscyplinarne, jakie uprawiamy w instytucji znanej Państwu, czyli w Akademii Artes Liberales, gdzie różne kierunki i specjalności studiuje ludzie na kilku uniwersytetach równocześnie. Jest to również oczywiście dla nas miejsce zastosowania metod współczesnej komparatystyki.

Dziękuję.

A. Hejmej: Jestem w trudnej sytuacji. Przynależę do katedry teorii literatury, gdzie, jak wiadomo, wszyscy, razem z profesor Anną Burzyńską, optujemy za antyteorią, czyli „zakazem” teorii. Do komparatystyki zbliżałem się właściwie

„drzwiami kuchennymi”. Istnieją zjawiska literackie z tzw. pogranicza sztuki, które próbowałem interpretować. Na etapie doktoratu w latach dziewięćdziesiątych podglądałem, jak pewne prace wyglądają we Francji, obserwowałem działania takich komparatystów, jak Pierre Brunel, Francis Claudon, Jean-Louis Backès. Korzystałem z ich prac, zakładając, iż najprościej pisać rozprawę pod egidą tego rodzaju komparatystyki. Nie przywiązywałem do tego większej wagi, od początku jednak wydawało mi się, że tak trzeba wyprofilować badania. Dzisiaj, oczywiście, istnieją badania muzykologiczne, istnieją badania muzyczno-literackie (nie ma większego znaczenia, jak je określać). Niemniej widzę możliwości rozwoju i proponuję taki dział komparatystyki, który Niemcy nazywają komparatystyką intermedialną. Nawet odchodzą od kłopotliwej interdyscyplinarności. Wokół niej bowiem istnieje niekończący się spór. Jeżeli pada hasło „interdyscyplinarność”, to jest ono w gruncie rzeczy dzisiaj nie do zaakceptowania... Nie możemy jednak zrezygnować z badań interdyscyplinarnych, mimo iż wielu badaczy twierdzi, że interdyscyplinarność to myślenie w duchu Kartezjusza i Kanta. Sądzę, że można rozmawiać o różnych projektach interdyscyplinarnych, między innymi o komparatystyce interdyscyplinarnej, którą czasami – jeśli obejmuje badania literatury i innych sztuk oraz mediów – bezpieczniej byłoby zresztą nazwać komparatystyką intermedialną. Amerykanie zajmowali się tym zagadnieniem od lat sześćdziesiątych XX wieku, bardziej teoretycznie na początku niż w praktyce interpretacyjnej, ale dzisiaj tych prac jest sporo, mimo że – i to nie jest zarzut – w antologii nie zostały uwzględnione.

O. Płaszczewska: Zostawmy na moment Kraków. O wypowiedź na temat terytoriów stosowania metody porównawczej proszę profesor Skwarę, której główne zainteresowania badawcze koncentrują się wokół problematyki recepcji literatury obcej w Polsce.

M. Skwara: Kiedy profesor Hejmej mówił o niebezpieczeństwach interdyscyplinarności, przypomniało mi się, tytułem anegdoty, że przyszła do nas na uczelnię dziewczyna z amerykańskim dyplomem doktorskim z *interdisciplinary studies* i po długich obradach komisja dała jej licencjat z anglistyki. Nie wiadomo było bowiem, jaką miała specjalizację. Tak się skończył doktorat interdyscyplinarny i to jest pewien problem.

Nie wiem, czy Państwo zwrócili uwagę, że we wszystkich kontekstach, amerykańskich, planetarnych czy nieplanetarnych, w dyskusjach o językach i o mniejszościach, sprawa polska wcale się nie pojawiła. Mnie kiedyś bardzo wzruszył Georg Brandes, duński nestor komparatystyki, pisząc, że oprócz twórców międzynarodowych istnieje grono wybitnych autorów, którzy pozostaną tylko pisarzami narodowymi. Słowacki będzie zawsze tylko poetą polskim, pisał Brandes. Byłam mu za to bardzo wdzięczna, bo wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, że ktoś z zewnątrz wymienił twórcę polskiego. Doskwiera mi to, że mamy świetną literaturę narodową, która jest albo nieobec-

na, albo bardzo spłycała w świecie. Jedno i drugie wydaje się irytujące. Sądzę, że tylko Polacy mogą wprowadzić swoją literaturę do dyskursu światowego. To jest punkt wyjścia odpowiedzi o zakres badań porównawczych. Można, rzecz jasna, pojmować komparatystykę jako sztukę interpretacji. Mnie to nie wystarcza. Staram się, by kontekst, w jakim osadzam literaturę polską, był uzasadniany czymś więcej niż potrzebą interpretacji. Być może dlatego lubię czasem badać związki faktyczne. Na przykład śledzić, jak i dlaczego Mickiewicz cytował Emersona w *Prelekcjach* – to temat i materiał wart lektury. Poza tym moim podstawowym celem, ambicją, ale i kompleksem było to, byśmy zaczęli mówić o literaturze polskiej w kontekstach międzynarodowych, na forach międzynarodowych, bo inaczej po prostu tej literatury nie ma.

Zauważyłam ze zdumieniem, że w *Niewspółmierności* nie ma żadnego odwołania do tekstu Pasquale Casanovy na temat światowej republiki literatury. Ten tekst ukazał się w angielskim przekładzie, w amerykańskim wydawnictwie, pod egidą Saida, a więc w doskonałych okolicznościach zapewniających mu rezonans. Proszę sobie przypomnieć, kto z twórców polskich znalazł się w tej światowej republice literatury. Pojawia się jedynie Gombrowicz, ale marginalnie, nie ma natomiast Miłosza, mimo że to noblista. Ponieważ jednak jego kariera nie przeszła przez Paryż, odpadł niejako z definicji, wszak, według założeń autorki, stolicą republiki literatury jest stolica Francji. Mamy jednak doskonały przykład do dyskusji nad koncepcją World Republic of Letters, a mianowicie Witkacego. Witkacy w latach dwudziestych dał się nabrać na dwóch tłumaczy, a właściwie jednego złodzieja Jeana de La Hire'a, który obiecał mu przetłumaczyć 5 sztuk i wydać je w Paryżu, bo dla pisarza centrum jest tam, gdzie można zrobić karierę międzynarodową. Z listów wynika, że Witkacy dokładnie zdawał sobie sprawę, gdzie się takie centrum mieści. I to jest potwierdzenie tego, czego chciałaby Casanova. Jednak nie przez Paryż, ale właśnie przez Amerykę Witkacy stał się twórcą światowym, dzięki Danielowi Gerouldowi i szkole nowojorskiej. Obserwując, jak w dyskusjach międzynarodowych albo literaturę polską się pomija, albo spłyca, dochodzę do wniosku, że polscy komparatyści powinni zajmować się propagowaniem literatury polskiej. Taki wysiłek podejmuję w swoich badaniach. Staram się, by dotyczyły one rzeczywistych związków, przykładów, sytuacji.

T. Sławek: Może trzy tylko krótkie uwagi pod hasłem nie bardzo naukowym, ale metaforycznym, komparatystyki syzyfowej, o czym już tu mówiliśmy. Komparatystykę syzyfową rozumiem jako taką, która jest namysłem nad istotą człowieka, prowadzonym wokół jednego dzieła sztuki. Uwzględnić w niej jednak należy kwestię właściwie pojmowanej zwierzęcości człowieka, czyli zwrócić uwagę na takie jego cechy, jak biologiczność i podległość instyktom.

A. Borowski: Czyli *posthuman studies*?

T. Sławek: Ja bym bronił tego terminu, bardzo go sobie cenię. Blisko finału Odysei, kiedy Odyseusz wraca, poznaje go tylko pies. Tylko pies, nikt inny. Nawet żona poznaje go później. Biorąc więc pod uwagę wartość zwierzęcia i zwierzęcych cech w człowieku (na marginesie dodam, że termin „zewierzęcie” powinien odzyskać pozytywne znaczenie), warto objąć zainteresowaniami komparatystyki także problem biokultury. Trzecim zaś obszarem, który nas jako badaczy interesuje, są studia nad przestrzenią, czyli *genius loci*, ze szczególnym uwzględnieniem studiów nad tym, czym jest dom, czyli oikologii. Czym jest dom? Co znaczy, że człowiek ma dom? Z jednej strony, człowiek nie może istnieć bez domu, a z drugiej – idea domu jako gorsetu, nacjonalistyczna z gruntu, szalenie nam doskwiera. W związku z tym warto postawić pytanie, czy możliwe jest wypracowanie koncepcji domu, który równocześnie byłby bliski i nie zniewalał, nie prowokował nacjonalizmów. Te trzy rzeczy nas interesują.

O. Płaszczewska: Dziękuję i ponawiam prośbę o wypowiedzi na temat obszarów komparatystyki, jakimi się Państwo zajmują.

M. Korytowska: Rozumiem, że pytanie dotyczyło zainteresowań własnych i aplikacji. Ze względu na to, że jestem starsza niż pokolenie pani Marty Skwary, moje doświadczenia są zbliżone do doświadczeń profesora Borowskiego, a wynikły one stąd, że w pewnym momencie życia zainteresowałam mnie temat, który w oczywisty sposób musiał być rozważony na przykładach polskiego, francuskiego i niemieckiego autora, a być może nawet innych twórców. Spotkało się to początkowo z pewną konsternacją na Wydziale. Z chwilą, kiedy usiłowałam zorganizować bliską temu tematowi konferencję, pojawił się opór ze strony ówczesnych władz. Opór, a początkowo nawet zakaz. Dopiero później udało się ten zakaz przełamać. Takie były początki. Tak jak Ty, Andrzeju, dobrze pamiętasz, wówczas robienie habilitacji o tematyce komparatystycznej było czymś podejrzanym. Na polonistyce dominowało właściwie powątpiewanie. Na szczęście był to Wydział Filologiczny, w którego łonie zostaliśmy zaakceptowani jako siedzący nieco okragiem między polonistyką a czymś bliżej niewiadomym, w Twoim przypadku Niderlandami, a w moim – romanistyką, do której miałam prawo, i niemieckim, do którego nie miałam formalnego prawa. Na szczęście dalszy ciąg był już obszarem wolności – jeżeli wolno mi to tak określić, czyli sferą działania absolutnie zgodną z zainteresowaniami bardzo konkretnym tematem, konkretnym zagadnieniem, konkretnymi twórcami i ich relacjami, ale nie zawsze bezpośrednimi, tylko wynikłymi z jakiegoś interesującego zagadnienia.

Chciałabym bardzo mocno podkreślić, że komparatystyka w moim rozumieniu, komparatystyka, jaką chciałabym widzieć, jaką chcę uprawiać, póki mogę, to jest właśnie sfera wolności działania w niezależności od jakichkolwiek ograniczeń, czy to politycznych, jak to było dawniej, czy to narodowych, tu nie ma takiej potrzeby. Jedynym ograniczeniem jest znajomość języka.

A. Borowski: Dodaj jeszcze: bez ograniczeń ideologicznych.

M. Korytowska: Ideologicznych i metodologicznych.

A. Borowski: Czy to nie wszystko jedno?

M. Korytowska: Czasem tak, a czasem nie. Bez ograniczeń ideologicznych i metodologicznych. Komparatystyka jest obszarem wolności działania w odniesieniu do tego, co się człowiekowi wydaje interesujące i co pozwala mu się poruszać czy to między obszarami różnych sztuk, czy to między różnymi literaturami. Nie musi to być bowiem ani perspektywa historyczna, ani perspektywa kontaktu, ani jakakolwiek inna perspektywa. To jest obszar swobody. Czym ta wolność jest ograniczona? Przede wszystkim znajomością języków. Dzisiaj większość absolwentów studiów zna wyłącznie angielski. Większość ludzi w tej chwili uczy się angielskiego, tak jak my byliśmy uczeni rosyjskiego. Na trzydziestu doktorantów jedna osoba zna trochę francuski, reszta ewentualnie angielski albo wcale. Smutne to, ale prawdziwe. Dlatego jednym z ograniczeń komparatysty jest wiedza, znajomość języków. Drugim ograniczeniem jest kwestia pomysłu na to, co może być ciekawe, wyobraźnia. Ja to nazwałam *das Interessant* właśnie, za dziewiętnastowiecznymi Niemcami, Schleglem i innymi. *Das Interessant* to po prostu to, co dla nich było rdzeniem literatury, a dla mnie – jest centrum literaturoznawstwa komparatystycznego. Czyli po prostu to, co jest interesującym zagadnieniem bez względu na okoliczności zewnętrzne.

Jeśli natomiast chodzi o kwestie organizacyjne, to część z Państwa je zna, więc potraktuję je króciutko. Katedra Komparatystyki na Wydziale Polonistyki UJ istnieje dwadzieścia lat, jeżeli się nie mylę. Pierwsze nasze „produkty”, że się tak brzydko wyrażę, już są profesorami lub wkrótce nimi będą, habilitacje w toku. Jak pierwotnie wyglądała dydaktyka? Na początku były to zajęcia jak gdyby dodatkowe, o charakterze opcyjnym, dołączone do polonistyki. Od wielu już lat specjalność komparatystyczna w obrębie polonistyki funkcjonuje na tej zasadzie, że istnieje kanon polonistyczny, który wyczerpuje wszelkie konieczności porządnego wykształcenia polonisty łącznie z językoznawstwem, metodologią, wszystkim, co jest potrzebne do tego celu. Studenci mają oczywiście do wyboru języki, jeden kontynuowany, jeden nowy. Część uczy się jeszcze innych języków. Oprócz tego mają pewną pulę ilościową przedmiotów komparatystycznych, czyli autorskich kursów, prowadzonych przez osoby mające kompetencje językowe i wiedzę itd., również dotyczącą innych sztuk. Z tej puli studenci wybierają co roku określoną liczbę zajęć. W związku z tym mogą dowolnie kształtować siebie jako komparatystów czy to intersemiotycznych, czy interdyscyplinarnych, czy intermedialnych. Po czym oczywiście muszą pisać pracę o charakterze porównawczym w dziedzinie, którą sobie wybiorą. Jeszcze jedną rzeczą dość szczególną na naszym wydziale jest literatura powszechna, którą udało się wprowadzić wiele lat temu

również jako obligatoryjną dla „zwykłych” polonistów. Literatura powszechna prezentowana jest w trzech blokach: dawniejsza, potem XVIII i XIX wiek oraz współczesna, która się wydaje bardzo istotna dla komparatystyki. Kurs literatury powszechnej pozwala dostarczyć studentom pewnej wiedzy niezależnej od ich kompetencji językowych, „przetrawionej” przez wykładowcę, zreferowanej. Z – równocześnie – pewnym kontekstem kulturoznawczym. Sytuujemy literaturę na tle rozwoju kultury w danym okresie, a więc i filozofii, i wydarzeń historycznych. Proponujemy perspektywę zarówno historyczną, jak i fenomenologiczną, ahistoryczną, czyli zajmujemy się pewnymi zagadnieniami, głównymi tendencjami, zjawiskami, które w danej epoce przejawiały się w taki czy inny sposób w różnych literaturach. To mi się wydaje dość istotną sprawą, ponieważ pozwala zyskać takie ponadnarodowe spojrzenie, nawet nie ponadnarodowe polskie, ale ponadnarodowe francuskie, angielskie, niemieckie, jakiegokolwiek inne.

Zwracam się jeszcze do pana Tomka, by zaapelować, pewnie już nie do Pana, ale do kogoś innego, żeby jednak oddać pewną sprawiedliwość Europie i europejskiej komparatystyce. To nie jest tak, że tylko Amerykanie mają komparatystykę. Francuzi mają swoją szkołę, mieli ją o wiele wcześniej niż Amerykanie. Ona właściwie wywodzi się jeszcze z tradycji dziewiętnastowiecznej, najpóźniej, a nawet osiemnastowiecznej, bo od Diderota do pewnego stopnia. Francuzi na przykład tę swoją komparatystykę pielęgnują, zdając sobie również sprawę ze stanu dyscypliny. Jest, jak wspominałam, poświęcone temu czasopismo, są specjalne spotkania i kongresy. To samo jest w Niemczech. Może na mniejszą skalę, bo Niemcy raczej praktycznie działają w instytutach komparatystyki, które są na nawet bardzo niewielkich uniwersytetach, typu Saarbrücken, większym Bochum czy innych. Oni też tę swoją dyscyplinę przepracowują intelektualnie, tylko nie są ani tak liczni, ani tak ekspansywni jak Amerykanie. W związku z tym są też mniej widoczni. Warto byłoby napisać podobną książkę o europejskiej komparatystyce, która ma zupełnie inne oblicze. Zwłaszcza francuska komparatystyka jest zupełnie inna niż amerykańska, bo wywodzi się z tej starej szkoły francuskiej. Jako *pendant* do Pańskiej bardzo cennej książki – warto byłoby zaapelować, żeby ktoś się tego zadania podjął.

A. Hejmej: Taka próba została nieśmiało przedsięwzięta. Zobaczymy, jakie będą konsekwencje. Doktoranci studium doktoranckiego przy Wydziale Polonistyki UJ tłumaczą i komentują teksty rozmaitych komparatystów XIX i XX wieku. Zaplanowaliśmy powstanie tomu podobnego do opublikowanej w 2009 roku antologii, której autorami są David Damrosch, Natalie Melas, Mbongiseni Buthelezi.

M. Korytowska: Oczywiście, historia komparatystyki polskiej powstanie dopiero za pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat i my się temu będziemy przyglądać z wysoka.

B. Bakula: Antologie piękna rzecz. Ja też bym jeszcze kilka wymyślił. Nam brakuje standardów, np. podręczników. Brakuje podręcznika, który ustalałby pewne kategorie, pojęcia, nurty, historie. Myślę o praktyce już takiej czysto dydaktycznej...

M. Korytowska: Pani Olga Płaszczewska wydała właśnie taką książkę.

A. Borowski: *Przestrzenie komparatystyki – italianizm*. Można powiedzieć, że to dwie książki w jednym woluminie. Pierwsza część jest właśnie dokładanie o tym, o czym Pan mówi – ustala kategorie, pojęcia, nurty, historię. Druga natomiast jest twórczym zastosowaniem metod w pierwszej części przedstawionych teoretycznie.

T. Sławek: Najwyższy czas, by znów odwołać się do antologii, bo można znaleźć w niej wypowiedzi, które mogłyby być komentarzem do wszystkich naszych stanowisk. Mam na myśli niewspominany dzisiaj tekst Mary L. Pratt. To dobry artykuł, najmniej reprezentatywny, jeżeli chodzi o to, co panu profesorowi Bakule dokuczało, jakby najmniej wsobny. Pratt mówi tam o czymś takim, jak kultura ekspresywna. W tym mieści się wszystko. I to, co wysokie, i to, co niskie.

O. Płaszczewska: Wiem, że poruszamy ważną dla nas wszystkich tematykę i doskonale się nam rozmawia. Mimo to czas nieubłagalnie upływa, toteż muszę zadać ostatnie pytanie, oczekując jednozdaniowej odpowiedzi każdego z Państwa. Czy komparatystyka jest dyscypliną teoretyczną, czy praktyczną?

A. Hejmej: Komparatystyka jest dla mnie, jeśli użyć formuły Davida Ferrisa, „dyscypliną poza dyscypliną”, a więc praktyką życiową, praktyką interpretacyjną.

A. Borowski: Jest specjalnością, jak powiedziałem, literaturoznawstwa. Nie widzę takiej dialektyki. Jeżeli uczę, to nie mogę tego robić bezmyślnie. Nie widzę wyboru. Dla mnie to nie jest alternatywa.

T. Sławek: Fakt, że to nie jest alternatywa. Natomiast skoro każe Pani wybrać, i ta dialektyka miałaby się z czymś wiązać, to rzeczywiście jest to działalność, która w ostatecznym rozrachunku powinna prowadzić do pewnej praktyki życiowej i politycznej.

M. Skwara: Tak, do praktyki życiowej, to bardzo ważne. Od początku komparatystyki był ten etyczny postulat, z którego można się śmiać, wziąć w cudzysłów, potraktować z przymrużeniem oka, ale od tego wszystko się zaczęło. Od bardzo idealistycznego poszukiwania porozumienia, którego ciągle nam chyba brakuje. Zdecydowanie też nie widzę sprzeczności między praktyką a teorią. Każda

praktyka wytwarza teorię i do teorii wraca. Ale bardzo ważny jest kontakt nauk humanistycznych z życiem. Kiedy myślę o grzechu pierworodnym z punktu widzenia praktyki, to przypomina mi się początkowe traktowanie komparatystyki na uniwersytetach anglojęzycznych – komparatystyki jako synonimu teorii.

T. Bilczewski: Sądzę, że warto próbować myśleć o komparatystyce poza dychotomią „teoria–praktyka”, która daleko nas chyba nie zaprowadzi.

B. Bakuła: Jestem przekonany, że perspektywa, jaką daje ta antologia, pokazuje, iż teoria nie może być działaniem bez odpowiedzialności. Tu wszystko idzie na rachunek słowa. A w związku z tym praktyka uzyskuje wymiar etyczny, cechuje ją odpowiedzialność, zawsze związana z wyborem i porównywaniem, które nie może być czynnością *ad hoc*. Komparatystyka byłaby postawą, decyzją wobec tego nieskończonego zbioru, z którym obcujemy bliżej lub dalej, lepiej lub gorzej. Tutaj ta odpowiedzialność, ten wybór decyduje, że postawa byłaby ważniejsza od teorii. Lecz muszę powiedzieć, że w ostatnich latach ja czuję się zakrzykiwany przez nadteoretyczność dzisiejszej komparatystyki, bywa że dość neurasteniczną w wydaniu dziesiątków jakoby obowiązujących zachodnich postaci i poglądów, w większości niezwyfikowanych, stanowiących coś w rodzaju ogromnego szumu, w którym trudno wyłowić istotne przekazy. Działanie badawcze, które nie kończy się na roztrząsaniach metodologicznych lub quasi-metodologicznych, nie kończy się na powierzchni procesu historycznoliterackiego, a dociera do możliwości porównań w jego wnętrzu – cenię najbardziej. W Polsce prac takich mamy obecnie stosunkowo niewiele.

M. Korytowska: Ja oczywiście jestem za praktyką, ponieważ ją uprawiam i jedynie ona mnie interesuje. Tutaj podam argument dotyczący tego, o czym pan profesor Bakuła mówił na temat podręczników. Znam wiele podręczników komparatystyki pisanych z określonej perspektywy teoretycznej. Piszą je na ogół teoretycy i w związku z tym nie zawsze mają one przełożenie czy to na dydaktykę, czy to na praktykę komparatystyczną. Równocześnie chciałabym powiedzieć, że uprawianie komparatystyki jako działalności praktycznej, krytycznej, nie oznacza tego, że człowiek czuje się zobowiązany, by zawsze funkcjonować jako komparatysta. Ja funkcjonuję również jako znawczyni romantyzmu, ale niekoniecznie komparatystka. Piszę także teksty dotyczące polskiej literatury, i nie tylko, i uważam, że jedno drugiego nie wyklucza ani też jedno wobec drugiego nie stoi w opozycji. Można pisać w obrębie jednej dyscypliny, można pisać w obrębie komparatystyki. Głośno nie powiedziałabym, że uprawianie komparatystyki jest związane z postawą etyczną, co zadeklarowała pani Skwara. To nas od razu popycha w sferę ideologii. Ja zostawiłabym tę kwestię raczej w sferze myślenia niż jakichkolwiek deklaracji, żeby uniknąć wszelkich uwikłań pozytywnych czy negatywnych w czymkolwiek odbiorze ideologicznym.

O. Płaszczewska: Serdecznie dziękuję. Fakt, że trudno nam przerwać dyskusję, świadczy o tym, iż komparatystyka, wbrew temu, co mówią niektórzy Amerykanie, a nawet Polacy, nie przeżywa kryzysu, ale prężnie się rozwija, inspirując do poszukiwania nowych rozwiązań badawczych i organizacyjnych.

Mimo że pochodzimy z różnych środowisk i należymy do różnych pokoleń, jesteśmy przekonani, że komparatystyka jest dziedziną, która znacząco wpływa na kształt współczesnej humanistyki. Rozmawiamy o komparatystyce uniwersyteckiej różnymi językami: w kategoriach filologii, etyki, indywidualnych i zbiorowych doświadczeń aplikowania metody porównawczej, polityki, a nawet – co może brzmieć przerażająco dla tych z nas, którzy wierzą, że uniwersytet to wciąż jeszcze wspólnota, *universitas* – językiem biznesu.

Zainspirowana antologią *Niewspółmierność. Perspektywy nowoczesnej komparatystyki* rozmowa wyraźnie wskazuje, że w dzisiejszej humanistyce istnieje nie tylko amerykańska *comparative literature*, ale również komparatystyka europejska. Inny niż amerykański model badań porównawczych proponuje, na przykład, szkoła francuska z Yves'em Chevrelem, Pierre'em Brunelem, Danielem-Henrim Pageaux i Claude'em Pichois. Nie ma on nic wspólnego z osławioną „wpływością”, jest otwarty wobec innych dyscyplin, zakłada jednak, że gwarancją zachowania tożsamości komparatystyki jest traktowanie dzieła literackiego jako niezbędnego członu porównania, natomiast innych „tekstów kultury” – jako jego kontekstu. Warto pamiętać także o tym, że odzęgająca się niedawno od tradycji francuskiej „szkoła amerykańska” komparatystyki chętnie nawiązywała jednak do badań prowadzonych w Europie – na przykład w pierwszym numerze „Yearbook of Comparative and General Literature” (1952) ukazał się przekład określającego, czym jest komparatystyka literacka, wstępu Jeana-Marie Carré do książki jego ucznia, Mariusa-François Guyarda (1951). Tego tekstu nie zabrakło we wzmiankowanej w rozmowie amerykańskiej antologii tekstów ukazujących rozwój dyscypliny na świecie od oświecenia po czasy globalizacji (*The Princeton Sourcebook in Comparative Literature. From the European Enlightenment to the Global Present*, red. D. Damrosch, N. Melas, M. Buthelezi, Princeton & Oxford 2009), a towarzyszą mu również głosy jeszcze bardziej tradycyjne – Herdera, Madame de Staël, Hugona von Meltzla i wielu innych. Oznacza to, być może, poszukiwanie nowej drogi, do czego niezbędne jest przypomnienie źródeł, na co również zwracano uwagę w dyskusji. Europejskie literaturoznawstwo porównawcze dostarcza bowiem wielu wzorców i pomysłów działania dalekich od modelu tradycyjnej komparatystyki inkorporacyjnej.

Jak wynika z dyskusji, złotym środkiem w refleksji na temat literaturoznawstwa porównawczego okazuje się odejście od dychotomicznego podziału na sfery teorii i praktyki. Komparatystyka jest bowiem dyscypliną, w której dochodzi do przenikania się tych dwóch opozycyjnych wymiarów. Znajduje to potwierdzenie w historii dziedziny. Osiągnięcia badawcze wielkich humanistów, takich jak Ernst Robert Curtius i Erich Auerbach, których prace do dziś traktowane są jako podstawowe dzieła komparatystyczne, nie zawierają aparatu

teoretycznego, a zachowują aktualność zarówno metodologiczną, jak i merytoryczną. Porównawcza analiza i interpretacja tekstów literackich i dzieł artystycznych tkwi u podstaw refleksji Mario Praza, Gastona Bachelarda, Jeana-Pierre'a Richarda czy Meyera H. Abramsa, którzy nie wyposażają swoich wypowiedzi w rozbudowany komentarz metakrytyczny. Praktyka badawcza poprzedza refleksję teoretyczną George'a Steinera, a nawet – w zakresie genologii – Davida Damroscha; podobnie dzieje się wśród polskich badaczy, których przedstawicielami są nasi goście – państwo profesorowie Bogusław Bakula, Marta Skwara i Tadeusz Sławek, oraz uczeni krakowscy – profesorowie Andrzej Borowski, Maria Korytowska, Andrzej Hejmej, doktor Tomasz Bilczewski, a nawet inicjatorka spotkania, profesor Teresa Walas, która nie uważa się za komparatystkę, a jest autorką poświęconej dekadentyzmowi publikacji *par excellence* porównawczej.

Dziękuję Państwu za rozmowę.

